

Niezapomnianą ekranizację  
z Sandrą Bullock i Nicole Kidman  
w rolach siostr Owens znają wszyscy.  
Teraz daj się oczarować ich książkowej historii!

# TOTALNA MAGIA

W KAŻDEJ Z NAS JEST COŚ Z WIEDZMY...

ALICE  
HOFFMAN

ALBATROS

## PRZESĄD

**O**d ponad dwustu lat kobiety z rodu Owensów oskarżano o każde zło, jakie wydarzyło się w miasteczku. Jeśli nadeszła deszczowa wiosna, jeśli krowy na pastwisku dawały mleko podbiegnięte krwią, jeśli żreback padł na kolkę albo dziecko urodziło się z czerwonym znamieniem na policzku, wszyscy wierzyli, że to kobiety z ulicy Magnolii się do tego przyczyniły, przynajmniej trochę. Nieważne, co przyniósł zły los – pioruny, szarańczę czy śmierć przez utonięcie. Nieważne, czy sytuację dało się wyjaśnić logicznie, naukowo czy zwykłym pechem. Gdy tylko pojawiały się kłopoty, choćby najmniejsze, ludzie natychmiast wytykali palcami Owensówny i zwalali na nie winę. Wkrótce wmówili sobie, że nie jest bezpiecznie przechodzić obok domu Owensów po zmroku, i tylko najgłupszy z sąsiadów odważali się zaglądać nad czarnym ogrodzeniem z kutego żelaza, które oplatało dziedziniec niczym wąż.

W domu nie było zegarów ani luster, a każde drzwi miały po trzy zamki. Pod podłogą i w ścianach mieszkwały myszy, które często znajdowano w szufladach komody, gdzie zjadały haftowane obrusy oraz koronkowe wykończenia lnianych serwetek. Ławy pod oknami i gzymsy kominków wykonano z piętnastu różnych gatunków drewna, łącznie ze złotym dębem, srebrnym jesionem i osobliwie aromatycznym drewnem wiśniowym, które wydzielало zapach dojrzałych owoców nawet w środku zimy, kiedy każde drzewo na zewnątrz wyglądało jak bezlistny czarny patyk. Choćby resztę domu pokrywała gruba warstwa kurzu, drewniane części nigdy nie wymagały polerowania. Mrużąc oczy, można było dostrzec swoje odbicie w boazerii w jadalni albo w poręczy schodów, którymi wbiegało się na piętro. W każdym pokoju było ciemno, nawet w południe, i chłodno nawet podczas lipcowych upałów. Każdy, kto ośmielił się stanąć na ganku obrośniętym dzikim bluszczem, mógł godzinami zaglądać przez okna i nigdy niczego nie zobaczyć. Tak samo było z wyglądaniem na zewnątrz: zielonkawe szyby okienne były takie stare i takie grube, że wszystko po drugiej stronie wyglądało jak sen, nawet niebo i drzewa.

Dziewczynki mieszkające na strychu były siostrami, które dzieliła tylko trzynastomiesięczna różnica wieku. Nigdy nie kazano im kłaść się spać przed północą ani nie pilnowano, czy umyły zęby. Nikogo nie obchodziło, czy chodzą w pogniocionych ubraniach albo czy pluą na ulicę. Przez cały czas, kiedy dziewczynki dorastały, pozwalano im spać w butach i rysować

czarną kredką śmieszne gęby na ścianach sypialni. Mogły pić na śniadanie zimnego Dr. Peppera, jeśli miały ochotę, albo jeść na obiad ciasto z kremem. Mogły włączyć na dach i siedzieć na łupkowej kalenicy, odchylając się do tyłu najbardziej, jak potrafiły, żeby zobaczyć pierwszą gwiazdę. Przesiadywały tam w wietrzne marcowe noce albo wilgotne sierpniowe wieczory, kłócąc się szeptem, czy nawet najmniejsze życzenie może kiedykolwiek się spełnić.

Dziewczynkami opiekowały się ciotki, które po prostu nie mogły odprawić z kwitkiem siostrzenic, choćby nawet chciały. W końcu dzieci były sierotami; ich rodzice tak się kochali, że nie zauważyli dymu unoszącego się ze ścian bungalowu, gdzie spędzali drugi miesiąc miodowy, zostawiwszy córeczki z nianią. Nic dziwnego, że siostry zawsze spały razem podczas burzy; obie bały się piorunów i mogły mówić tylko szeptem, kiedy po niebie przetaczał się grzmot. Kiedy wreszcie zasypiały objęte, często śniły te same sny. Niekiedy jedna kończyła zdanie za drugą; a dowolnego dnia każda z nich mogła zamknąć oczy i zgadnąć, co druga najbardziej chce zjeść na deser.

Pomimo tej bliskości siostry całkowicie się różniły wyglądem i usposobieniem. Gdyby nie piękne szare oczy, z których słyndęły Owensówny, nikt by nie zgadł, że są spokrewnione. Gillian była jasną blondynką, podczas gdy włosy Sally były czarne jak sierść źle wychowanych kotów, którym ciotki pozwalały włóczyć się po ogrodzie i ostrzyć pazury na zasłonach w salonie. Gillian była leniwa i lubiła spać do południa.

Oszczędzała kieszonkowe, a potem płaciła Sally, żeby odra-  
biała za nią lekcje z matematyki i prasowała jej wyjściowe su-  
kienki. Piła całymi butelkami napój czekoladowy Yoo-Hoo i  
objadała się lepкими batonami Hershey'sa, leżąc na chłodnej  
piwnicznej posadzce i patrząc z zadowoleniem, jak Sally odku-  
rza metalowe półki, gdzie ciotki trzymały marynaty i konfitu-  
ry. Najbardziej na świecie Gillian lubiła leżeć na aksamitnych  
poduszkach we wnęce okiennej na podeście, gdzie wisiały ada-  
maszkowe zasłony, a portret Marii Owens, która dawno temu  
zbudowała ten dom, zbierał kurz w kącie. Tam można było ją  
znaleźć w letnie popołudnia, tak ospałą i nieruchawą, że mole  
siadały na niej, myśląc ją z poduszką, i wygryzały dziurki w jej  
dżinsach i koszulce.

Sally, trzysta dziewięćdziesiąt siedem dni starsza od sio-  
stry, w przeciwieństwie do niej była obowiązkowa i pracowita.  
Nigdy nie wierzyła w nic, czego nie można udowodnić faktami  
i liczbami. Kiedy Gillian pokazywała spadającą gwiazdę, Sally  
przypominała jej, że na Ziemię spada tylko stary kamień, roz-  
grzany przejściem przez atmosferę. Sally od początku chciała  
rządzić; nie lubiła bałaganu i zamieszania, które wypełniały  
stary dom przy ulicy Magnolii od piwnicy aż po strych.

Odkąd Sally była w trzeciej klasie, a Gillian w drugiej, to  
starsza siostra gotowała zdrowe posiłki – klops, świeżą zieloną  
fasolkę i krupnik – wykorzystując przepisy z książki kuchar-  
skiej *Joy of Cooking*, którą zdołała przemyścić do domu. Co  
rano przygotowywała pudełka z lunchem, pakowała kanapki

z indykiem i pomidorem na pełnoziarnistym chlebie, dokładała słupki marchewki i lukrowane owsiane ciasteczka, a Gillian wyrzucała to wszystko do śmieci, gdy tylko Sally zostawiła ją w klasie, bo wołała hamburgery i ciastka czekoladowe sprzedawane w szkolnej kawiarence, i często podkradała tyle dziesięciocentówek i ćwierćdolarówek z płaszców ciotek, że mogła sobie kupić, co tylko zechciała.

Noc i Dzień, tak je nazywały ciotki, i chociaż żadna z dziewczynek nie śmiała się z tego małego żarciku ani nie uważała go za zabawny nawet w najmniejszym stopniu, obie dostrzegały w nim prawdę. Zrozumiały wcześniej niż większość siostr, że księżyc zawsze jest zazdrosny o skwar dnia, podobnie jak słońce zawsze tęskni za czymś ciemnym i głębokim. Dotrzymywały nawzajem swoich sekretów; przysięgały z ręką na sercu, że nigdy się nie wygadają, nawet jeśli chodziło o ciągnięcie kota za ogon czy zerwanie naparstnicy z ciotycznego ogrodu.

Siostry mogłyby sobie dogryzać z powodu dzielących je różnic, mogłyby się pokłócić, a potem rozstać, gdyby miały jakichś przyjaciół, ale inne dzieci z miasteczka ich unikały. Nikt nie odważyłby się bawić z siostrami, a większość dziewczynek i chłopców krzyżowała palce od uroku, kiedy zbliżały się Sally i Gillian, jakby to mogło ich ochronić. Najdzielniejsi i najzuchwalsi chłopcy chodzili za siostrami do szkoły, w odpowiedniej odległości, żeby mogli się odwrócić i uciec w razie potrzeby. Ci chłopcy lubili rzucać w dziewczynki kamieniami

albo zimowymi jabłkami, ale nawet najlepsi sportowcy, gwiazdy szkolnej drużyny Małej Ligi, nigdy nie mogli trafić, kiedy celowali w Owensówny. Każdy kamień, każde jabłko zawsze spadały siostrom do stóp.

Dla Sally i Gillian te dni były pełne drobnych umartwień. Żadne dziecko nie użyłoby ołówka ani kredki, których dotknęła któraś z Owensówien. Nikt nie chciał siedzieć obok nich w kawiarence ani na apelach, a niektóre dziewczynki dosłownie piszczały, kiedy wchodziły do toalety, żeby się wysikać, uczesać albo poplotkować, i natykały się na którąś z sióstr. Sally i Gillian nigdy nie wybierano do żadnej sportowej drużyny, chociaż Gillian biegała najszybciej w całym miasteczku i potrafiła wybić piłkę baseballową ponad dachem szkoły aż na ulicę Endicott. Nigdy nie zapraszano ich na przyjęcia ani zebrania skautek, nigdy nie proponowano im gry w klasy czy włożenia na drzewa.

– Pieprzyć ich wszystkich – mówiła Gillian, zadzierając wysoko śliczny nos, kiedy chłopcy wydawali upierne odgłosy na widok sióstr, które mijały ich w szkolnym korytarzu, idąc na lekcję muzyki czy wychowania plastycznego. – Niech się wypchają. Jeszcze zobaczysz. Kiedyś będą błagać, żebyśmy ich zaprosiły do domu, a my roześmiejemy się im w twarz.

Czasami, kiedy Gillian była w szczególnie paskudnym nastroju, odwracała się nagle i krzyczała: „Buu!”, a wtedy kilku chłopców zawsze sikało w majtki i czuło się znacznie bardziej upokorzonych niż ona. Ale Sally nie miała serca się odgrywać.

Ubierała się na ciemno i starała się nie rzucać w oczy. Udawała tępą i nigdy nie zgłaszała się do odpowiedzi na lekcjach. Tak dobrze maskowała swoją prawdziwą naturę, że po jakimś czasie sama zwątpiła we własne zdolności. Stała się cicha jak myszka. Kiedy w klasie otwierała usta, potrafiła tylko piszczeć błędne odpowiedzi; z czasem nauczyła się siadać na samym końcu i trzymać buzię na kłódkę.

Ale wciąż nie chcieli jej zostawić w spokoju. Kiedy była w czwartej klasie, ktoś włożył jej do szafki otwartą mrówczą farmę i potem przez całe tygodnie znajdowała między stronicami książek rozgniecione mrówki. W piątej klasie banda chłopaków podrzuciła jej na ławkę zdechłą mysz. Jeden z okrutniejszych dzieciaków przykleił na grzbiecie gryzonia nalepkę z nagryzmołonym niezdarnie imieniem „Sali”. Widok błędu nie sprawił Sally najmniejszej przyjemności. Płakała nad drobnym skulonym ciałkiem z maleńkimi wąsikami i perfekcyjnymi łapkami, ale kiedy nauczyciel zapytał, co się stało, tylko wzruszyła ramionami, jakby odebrało jej mowę.

Pewnego pięknego kwietniowego dnia, kiedy Sally była w szóstej klasie, wszystkie koty ciotek przyszły za nią do szkoły. Od tamtej pory nawet nauczycielki wołały nie przechodzić obok niej w pustym korytarzu i znajdowały pretekst, żeby zawrócić. Oddalając się w pośpiechu, uśmiechały się do niej dziwnie, jakby z przymusem. Czarne koty wywierają taki wpływ na pewnych ludzi: na ich widok niektórzy trzęsą się ze strachu i myślą o ciemnej nocy pełnej koszmarów. Jednak



koty ciotek nie były szczególnie przerażające. Były rozpieszczone i lubiły sypiać na kanapach. Wszystkie nosiły imiona ptaków: Kardynał, Kruk, Wrona i Gąska. Był niezdarny kociak Gołąbek i drażliwy kocur Gawron, który syczał na inne i nie dopuszczał ich do siebie. Trudno uwierzyć, że ta banda sierściuchów uknuła plan, żeby narobić Sally wstydu, jednak na to właśnie wyglądało; chociaż może poszły za nią tamtego dnia po prostu dlatego, że przygotowała na lunch kanapkę z tuńczykiem, tylko dla siebie, bo Gillian symulowała zapalenie gardła i została w łóżku, gdzie zamierzała spędzić resztę tygodnia, czytając czasopisma, zajadając batoniki i nie przejmując się plamami z czekolady na prześcieradłach, bo to Sally zajmowała się praniem.

Tamtego ranka Sally nawet nie wiedziała, że koty za nią idą, dopóki nie usiadła w swojej ławce. Kilko uczniów się śmiało, ale trzy dziewczynki wskoczyły na kaloryfer i piszczały wniebogłosy. Myślałby kto, że do klasy wtargnęły demony, a nie kilka zapchlonych futrzaków. Przymaszerowały obok krzeseł i ławek, czarne jak noc i wyjące jak upiory. Sally je odganiała, ale one podchodziły coraz bliżej. Paradowały przed nią tam i z powrotem, z uniesionymi ogonami, miaucząc tak przeraźliwie, że mleko mogło się zwarzyć w kubku.

– Sio – szepnęła Sally, kiedy Gawron wskoczył jej na kolana i zaczął ugniatać pazurzastymi łapami jej najładniejszą niebieską sukienkę. – Odejdź – błagała.

Ale nawet kiedy podeszła panna Mullins, trzasnęła linijką

w ławkę i zażądała swoim najbardziej surowym tonem, żeby Sally pozbyła się kotów z klasy – *tout de suite* – albo za karę zostanie po lekcjach, wstrętne zwierzaki nie chciały odejść. Panią zataczała coraz szersze kręgi i bardziej nerwowi uczniowie zaczęli już szeptać o czarach. W końcu czarownicy często towarzyszy chowaniec, zwierzę pomagające jej w najbardziej występnych przedsięwzięciach. Im więcej chowańców, tym gorsze czyny, a tutaj pojawiło się całe stado tych okropnych stworów. Kilkoro dzieci zemdłało; inne nabawiły się fobii wobec kotów na resztę życia. Wezwano nauczyciela gimnastyki, który posłużył się miotłą, ale zwierzęta wciąż nie chciały odejść.

Pewien chłopiec w tylnej ławce, który rano zwędził ojcu pudełko zapalek, widząc chaos panujący w klasie, skorzystał z okazji, żeby podpalić ogon Gawrona. Śwąd płonącej sierści szybko wypełnił klasę, zanim jeszcze Gawron zaczął wrzeszczeć. Sally podbiegła do kota, bez namysłu padła na kolana i stłumiła ogień swoją ulubioną niebieską sukienką.

– Mam nadzieję, że spotka cię coś okropnego! – zawołała do chłopca, który podpalił ogon. Wstała, tuląc kota w ramionach jak dziecko, z twarzą i sukienką powalanymi sadzą. – Wtedy zobaczysz, jak to jest. Zobaczysz, jakie to uczucie.

Właśnie wtedy dzieci w klasie dokładnie piętro wyżej zaczęły tupać – z radości, ponieważ okazało się, że buldog nauczycielki angielskiego zjadł ich dyktanda – i płytka wyciszająca spadła z sufitu prosto na głowę niegodziwego chłopca.

Upadł jak długi i twarz mu poszarzała mimo piegów.

– To ona zrobiła! – krzyknęło kilkoro dzieci, a te, które milczały, miały szeroko otwarte usta i wytrzeszczone oczy.

Sally wybiegła z klasy z Gawronem w objęciach, a reszta kotów podążyła za nią. Deptały jej po piętach przez całą drogę do domu, ścigały ją po ulicach Endicott i Peabody, przez frontowe drzwi i po schodach, i przez całe popołudnie drapały do drzwi jej sypialni, chociaż zamknęła się w środku na klucz.

Płakała przez pełne dwie godziny. Rzecz w tym, że ona kochała koty. Przemycała dla nich spodeczki mleka i nosiła je do weterynarza w szmacianej torbie, kiedy się pobili i w zadrapania wdała się infekcja. Uwielbiała te okropne koty, zwłaszcza Gawrona, a jednak siedząc w klasie i paląc się ze wstydu, miała ochotę utopić każdego z nich w wiadrze lodowatej wody albo zastrzelić z wiatrówki. Chociaż zajęła się Gawronem, gdy tylko doszła do siebie, oczyściła mu ogon i zabandażowała, w głębi serca wiedziała, że go zdradziła. Od tamtego dnia Sally uważała się za kogoś gorszego. Nie prosiła ciotek o specjalne względy ani nawet nie żądała tych drobnych nagród, które jej się należały. Sama dla siebie stała się najsurowszym i najbardziej bezkompromisowym sędzią; oskarżyła się o brak współczucia i hartu ducha, a karą było wyrzeczenie się wszelkich przyjemności.

Po incydencie z kotami dzieciaki nie tyle ignorowały Sally i Gillian, ile się ich bały. Inne dziewczynki już się z nimi nie drażniły; zamiast tego szybko odchodziły ze spuszczone-

mi oczami, kiedy tylko zbliżały się siostry Owens. Plotki o czarach krążyły przekazywane w liścikach z ławki do ławki; szeptane oskarżenia rozbrzmiewały w korytarzach i toaletach. Te dzieci, które miały własne czarne koty, błagały rodziców o inne zwierzątka, owczarki collie albo świnki morskie, albo nawet złote rybki. Kiedy drużyna futbolowa przegrała, kiedy w pracowni plastycznej wybuchł piec do wypalania, wszyscy oglądali się na Owensówny. Nawet najgorsi chuligani nie ośmielali się cisnąć w nie piłką na przerwie ani pluć w ich kierunku; nikt już nie rzucał kamieniami czy jabłkami. Na imprezach z nocowaniem i zbiórkach skautów niektórzy przysięgali, że Sally i Gillian umieją wywołać trans hipnotyczny i zmusić cię, żebyś szczekał jak pies albo skoczył w przepaść, jeśli zechcą. Mogą rzucić na ciebie zaklęcie jednym słowem albo skinieniem głowy. A jeśli któraś z sióstr naprawdę się rozgniewa, wystarczy, że wyrecytuje od tyłu tabliczkę mnożenia przez dziewięć, i będzie po tobie. Oczy ci wypłyną z głowy. Ciało i kości zmienią się w budyń. Następnego dnia podadzą cię w szkolnej stołówce i nikt się nie zorientuje.

Dzieci w miasteczku mogły sobie plotkować, ile chciały, prawdą było jednak, że większość ich matek odwiedziła ciotki co najmniej raz w życiu. Niekiedy zjawiał się ktoś, kto potrzebował naparu z czerwonego pieprzu na podrażniony żołądek albo trojeści na nerwy, ale każda kobieta w mieście wiedziała, czym naprawdę zajmują się ciotki; specjalizowały się w miłości. Nie zapraszano ich na składkowe kolacje ani na zbiórki

funduszy na bibliotekę, ale kiedy jakaś kobieta w miasteczku pokłóciła się z kochankiem, kiedy zaszła w ciążę nie ze swoim mężem albo odkryła, że mężczyzna, za którego wyszła, zdradza ją na prawo i lewo, wtedy pukała do tylnych drzwi Owensów, zaraz po zmierzchu, kiedy cienie kryją rysy twarzy i nikt nie mógł rozpoznać osoby stojącej pod wisterią, splątanym pnączem, które rosło nad drzwiami domu dłużej, niż żył ktokolwiek w okolicy.

Nie miało znaczenia, czy kobieta była nauczycielką w piątej klasie szkoły podstawowej, czy żoną pastora, czy może długoletnią przyjaciółką ortodonta z ulicy Peabody. Nie miało znaczenia, że ludzie przysięgali, że z nieba spadały czarne ptaki, gotowe wydziobać ci oczy, jeśli podszedłeś do domu Owensów od wschodu. Pożądanie dodawało mieszkańcom miasteczka dziwnej odwagi. Zdaniem ciotek mogło wkraść się do duszy dorosłej kobiety i zmienić ją z rozsądnej osoby w coś równie bezrozumnego jak pchła, która wciąż goni za tym samym starym psem. Jeśli któraś już podjęła decyzję, żeby zapukać do tylnych drzwi, gotowa była bez zmrużenia oka wypić napar z mięty polnej, doprawiony składnikami, których lepiej na głos nie wymieniać, bo z pewnością wywołałoby to krwawienie jeszcze tej nocy. Gotowa była pozwolić, żeby jedna z ciotek nakłuła jej srebrną igłą trzeci palec lewej ręki, jeśli to miało sprowadzić z powrotem jej ukochanego.

Ciotki gdakały jak kwoki na widok kobiety nadchodzącej ścieżką wyłożoną szaroniebieskimi kamieniami. Wyczuwa-

ły desperację na kilometr. Kobieta, która była zakochana po uszy i chciała sobie zapewnić wzajemność, chętnie oddawała kameę należącą do jej rodziny od pokoleń. Te, które zdradzono, płaciły nawet więcej. Ale najgorsze były kobiety, które pragnęły cudzych mężów. Zrobiłyby absolutnie wszystko dla miłości. Skręcały się całe z pożądania jak gumki recepturki i miały gdzieś konwencje czy dobre maniery. Gdy tylko ciotki zobaczyły którąś z tych kobiet zbliżającą się do tylnych drzwi, natychmiast wysyłały dziewczynki na strych, nawet w grudniowe wieczory, kiedy zmierzch zapadał na długo przed wpół do piątej.

W te mroczne wieczory siostry nigdy nie protestowały, że jest za wcześnie albo że nie są jeszcze śpiące. Na paluszkach wchodziły po schodach, trzymając się za ręce. Na podeście, pod zakurzonym starym portretem Marii Owens, głośno mówiły sobie dobranoc; potem biegły do swoich pokojów, narzucały przez głowy koszule nocne i po cichu schodziły tylnymi schodami, żeby podkraść się do drzwi i łowić każde słowo. Czasami, kiedy wieczór był wyjątkowo ciemny, a Gillian czuła się bardziej odważna niż zwykle, uchylała drzwi stopą, a Sally nie śmiała ich zamknąć z powrotem z obawy, żeby nie skrzypnęły i nie zdradziły ich obecności.

– To takie głupie – szeptała Sally. – To kompletne bzdury.

– Więc idź do łóżka – ripostowała natychmiast Gillian.

– No dalej – ponaglała, wiedząc, że Sally za nic nie przepuści tego, co się tam działo.

Z tylnych schodów dziewczynki widziały pod kątem stary czarny piecyk, stół i ręcznie tkany dywanik, po którym klientki ciotek często chodziły tam i z powrotem. Widziały, jak miłość może opanować kobietę od stóp do głów, nie wspominając o wszystkich częściach pomiędzy.

W ten sposób Sally i Gillian dowiedziały się rzeczy, jakich nie wie większość dzieci w ich wieku: że zawsze warto zachować ścinki paznokci ukochanego, które niegdyś były żywą tkanką, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy zbłądzić; że kobieta może pragnąć mężczyzny tak bardzo, że wymiotuje do kuchennego zlewu albo płacze tak rozpaczliwie, że krwawią jej kąciki oczu.

Wieczorami, kiedy pomarańczowy księżyc wschodził na niebie, a w kuchni płakała następna kobieta, Sally i Gillian zahaczały o siebie małe palce i ślubowały, że nigdy nie ulegną namiętności.

– Faj – szeptały dziewczynki, kiedy jakaś klientka ciotek zalewała się łzami albo podnosiła bluzkę i pokazywała krwawe szramy w miejscu, gdzie wycięła brzytwą na skórze imię ukochanego. – Nie my – przysięgały siostry, jeszcze mocniej splatając palce.

Pewnej zimy, kiedy Sally miała dwanaście lat, a Gillian prawie jedenaście, dowiedziały się, że w miłości czasami najbardziej niebezpieczne jest spełnienie pragnienia serca. Do ciotek przyszła wówczas młoda kobieta, która pracowała w drogerii. Temperatura spadała od wielu dni. Silnik forda kombi należą-

cego do ciotek prychał i nie chciał zapalić, opony przymarzły do betonowej posadzki garażu. Myszy nie wysuwały nosa z ciepłych ścian sypialni; łabędzie w parku skubały lodowate wodorosty i wciąż były głodne. Zima była tak sroga, a niebo tak purpurowe i okrutne, że młode dziewczyny wzdrygały się, kiedy podnosiły wzrok.

Klientka, która zjawiała się pewnego ciemnego wieczoru, nie była ładna, ale odznaczała się dobrocią i miłym usposobieniem. Zanosila staruszkom świąteczne przysmaki, śpiewała w chórze głosem anioła i zawsze wlewała dodatkową porcję syropu do szklanki, kiedy dzieci zamawiały waniliową colę przy barze. Lecz kiedy ta zwyczajna, spokojna dziewczyna zjawiała się o zmierzchu, cierpiała tak bardzo, że zwinęła się w kłębek na dywaniku; tak mocno zacisnęła pięści, że wyglądały jak kocie pazury. Odrzuciła głowę do tyłu i jej lśniące włosy opadły na twarz jak zasłona; zagryzała wargi aż do krwi. Miłość zjadała ją żywcem i dziewczyna straciła już piętnaście kilo. Z tego powodu ciotki chyba zlitowały się nad nią, co rzadko im się zdarzało. Chociaż dziewczyna nie miała dużo pieniędzy, dały jej najmocniejszy eliksir i udzieliły dokładnych instrukcji, jak rozkochać w sobie męża innej kobiety. Potem ją ostrzegły, że co się stanie, nigdy się nie odstanie, więc musi być pewna.

– Jestem pewna – odparła dziewczyna swoim pięknym, spokojnym głosem.

Widocznie to ciotkom wystarczyło, bo wręczyły jej serce gołębia na jednym z ich najładniejszych spodeczków, tych z



wierzbami i błękitną rzeką łez.

Sally i Gillian siedziały w ciemności na tylnych schodach, stykając się kolanami i bosymi, brudnymi stopami. Trzęsły się, ale mimo to uśmiechały się do siebie i szeptały razem z ciotkami zaklęcie, które znały tak dobrze, że mogły je recytować przez sen:

– Serce mego kochanego poczuje to ukłucie i tak zdobędzie jego uczucie. Nie zazna snu ani spokoju, póki nie przyjdzie w objęcia moje. Dopiero kiedy mnie pokocha, odnajdzie spokój i pogodę ducha.

Gillian dźgnęła wyimaginowane serce gołębia, co dziewczyna miała robić przez siedem kolejnych wieczorów, powtarzając te słowa, zanim położy się do łóżka.

– To się nigdy nie uda – szepnęła potem Sally, kiedy po omacku wracały po schodach i przez korytarz do swoich pokojów.

– To się może udać – odszepnęła Gillian. – Chociaż ona nie jest ładna, to się mieści w granicach prawdopodobieństwa.

Sally się wyprostowała; była starsza i wyższa, i zawsze wiedziała lepiej.

– Jeszcze zobaczymy.

Przez prawie dwa tygodnie Sally i Gillian obserwowały nieszczęśliwie zakochaną dziewczynę. Niczym prywatni detektywi przesiadywały godzinami w kącie drogerii i wydawały całe kieszonkowe na colę i frytki, żeby nie spuszczać z oka swojej zwierzyny. Szły za nią, kiedy wracała do mieszkania,

które dzieliła z inną dziewczyną, pracującą w pralni chemicznej. Im dłużej ją śledziły, tym bardziej Sally czuła, że naruszają jej prywatność, ale siostry wciąż wierzyły, że prowadzą ważne badania, chociaż Gillian niekiedy miała wątpliwości co do ich celu.

– To proste – wyjaśniła jej Sally. – Musimy udowodnić, że ciotki nie mają żadnych mocy.

– Jeśli ciotki tylko ściemniają – Gillian wyszczerzyła zęby – to jesteśmy takie same jak inni.

Sally przytaknęła. Nie potrafiła wyrazić, jak bardzo się tym przejmowała, ponieważ z całego serca pragnęła być taka jak inni. Po nocach śniła o wiejskich domkach i białych drewnianych płótkach, a kiedy budziła się rano i widziała za oknem czarne żelazne szpikulce ogrodzenia, łzy napływały jej do oczu. Wiedziała, że inne dziewczynki myją się mydłem Ivory i słodko pachnącym Camay, podczas gdy ona i Gillian musiały używać czarnego mydła, które ciotki warzyły dwa razy do roku na kuchennym piecyku. Inne dziewczynki miały matki i ojców, których w ogóle nie interesowały przeznaczenie i mroczne żądze. W żadnym innym domu na tej ulicy ani w całym miasteczku nie było szuflady wypełnionej po brzegi kamiami, otrzymanymi jako zapłata za spełnienie pragnień.

Sally pozostawało tylko żywić nadzieję, że może jej życie nie jest tak nienormalne, jak się wydaje. Jeśli urok miłosny dla dziewczyny z drogerii nie podziała, to może ciotki tylko udają, że mają moc. Więc siostry czekały i modliły się, żeby

nic się nie stało. A kiedy już się wydawało, że rzeczywiście do niczego nie dojdzie, o zmierzchu dyrektor szkoły, pan Halliwell, zaparkował swoje kombi przed mieszkaniem dziewczyny z drogerii. Niedbałym krokiem wszedł do środka, ale Sally zauważyła, że obejrzał się przez ramię; oczy miał zaczerwienione, jakby nie spał od siedmiu nocy.

Tego wieczoru dziewczynki nie wróciły do domu na kolację, chociaż Sally obiecała ciotkom, że przygotuje kotlety jagnięce i pieczoną fasolę. Zerwał się wiatr i zaczął padać lodowaty deszcz, jednak siostry wciąż stały na ulicy, naprzeciwko mieszkania dziewczyny z drogerii. Pan Halliwell wyszedł dopiero po dziewiątej i miał dziwny wyraz twarzy, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. Minął swój samochód i wcale go nie poznał, i dopiero w połowie drogi do domu zorientował się, że gdzieś zaparkował, a potem prawie przez godzinę szukał tego zapomnianego miejsca. Później pojawiał się każdego wieczoru dokładnie o tej samej porze. Pewnego razu miał chęć przyjść na lunch do drogerii i zamówić cheeseburgera z colą, chociaż nie zjadł ani kęsa, tylko wpatrywał się tęsknie w dziewczynę, która rzuciła na niego urok. Siedział na pierwszym stolku, tak rozpalony miłością, że w miejscach, gdzie opierał łokcie, linoleum na kontuarze zaczęło się pokrywać bąblami. Kiedy w końcu zauważył, że Sally i Gillian go obserwują, kazał siostrom wracać do szkoły i sięgnął po swojego burgera, ale wciąż nie mógł oderwać oczu od dziewczyny. Tak, nieźle go trafiło; ciotki załatwiły go tak celnie, jakby ustrzeliły

go z łuku.

– Zbieg okoliczności – upierała się Sally.

– No, nie wiem. – Gillian wzruszyła ramionami. Każdy widział, że dziewczyna z drogerii cała promieniała, kiedy serwowała desery lodowe z gorącym karmelem i realizowała recepty na antybiotyki i syrop od kaszlu. – Ona dostała, czego chciała. W jakiś sposób.

Jednak okazało się, że dziewczyna nie dostała dokładnie tego, czego chciała. Wróciła do ciotek, jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Miłość to jedno, małżeństwo to całkiem co innego. Pan Halliwell, jak się zdawało, nie zamierzał opuścić żony.

– Chyba lepiej, żebyś na to nie patrzyła – szepnęła Gillian do Sally.

– Skąd wiesz?

Dziewczynki szeptały sobie prosto do uszu; ogarnął je strach, jakiego zwykle nie czuły, kiedy szpiegowały z bezpiecznej kryjówki na schodach.

– Raz to widziałam. – Gillian była niezwykle blada, jej jasne włosy unosiły się nad głową jak chmura.

Sally odsunęła się od siostry. Zrozumiała, dlaczego ludzie mówią, że krew ścina się w żyłach.

– Beze mnie?

Gillian często schodziła po tylnych schodach bez siostry, żeby się sprawdzić, żeby wypróbować swoją odwagę.

– Myślałam, że nie będziesz chciała. Czasami one robią dość okropne rzeczy. Nie wytrzymałybyś tego.